

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Władysław Broniewski,
Ks. Józef Jarzębowski,
Zygmunt S. Klingsland,
Halina Konopacka,
Felicia Lilpop-Krancowa,
Jan Lechoń,
Kazimierz Suszczyński,
Melchjor Wańkowicz.

Vol. 2, Nr. 9 (61)

Nowy Jork, 27 lutego — New York, 21, N. Y., February 27, 1944

Cena 15 ct.

“Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI...”

Część naszej armji, w tem Dywizja Karpacka, urodzona z tak drogiej nam Karpackiej Brygady, weszła do akcji bojowej na włoskim froncie: oto wieść, którą od paru dni podają sobie z ust do ust wszyscy Polacy, instynktownie wyczuwając, że wieść ta ma głębsze znaczenie niż to, które nasuwa liczba naszych żołnierzy, mających odbierać Rzym od pogańskiego najeźdźcy.

Przedewszystkiem bowiem nawet wrogowie nasi, tyle podając w wątpliwość cnót polskich, nie ośmielili się zaprzeczyć nigdy bohaterstwu, wytrzymałości, inicjatywie polskiego żołnierza; dlatego też doskonale uzbrojone dywizje polskie mogą napewno zaważyć na działaniach wojennych aliantów, jak zaważyła już kiedyś nasza brygada w Tobruku.

Ponadto zaś i to jest najważniejsze, nasze wojsko jest najdoskonalszym wyrazem tego, co naród polski czuje, jak walczy i czego pragnie; jest ono głosem naszego kraju i kiedy ono się bije, głos ten mocno rozbrzmiewa na świat i domaga się Polski wolnej, całej i niepodległej.

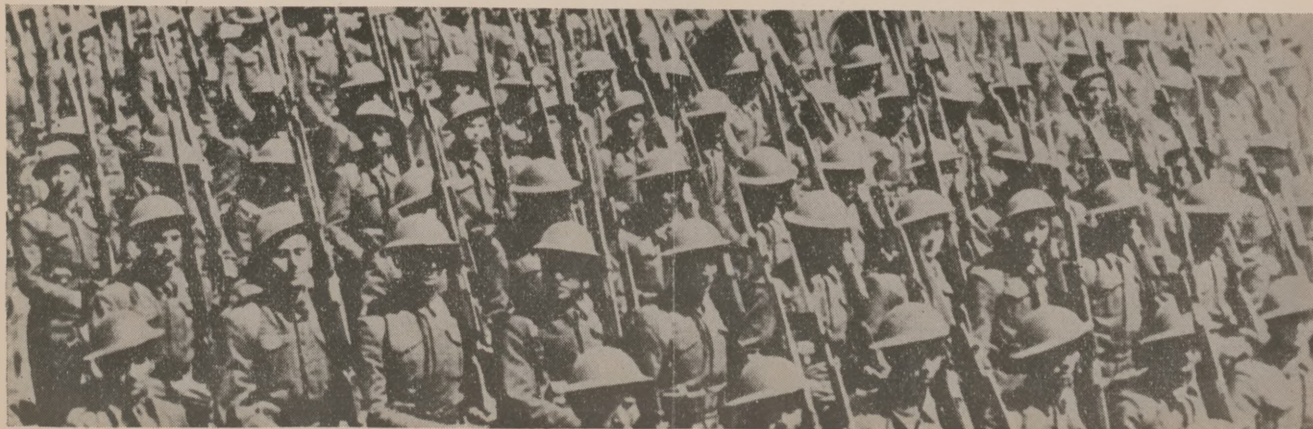
Polacy nie oparli praw swoich na niczyjej łasce, nie chcieli zawdzięczać ich żadnej obcej krwi, która by się za nich łała, ale wierni swej jedynie ludzkiej, jedynie szlacheckiej tradycji ofiarowali wszystko, aby stać się godnymi wolności, aby potwierdzić swe prawa do swej ziemi; liczba, dziś już w miliony idąca Polaków, padłych w jawnej i podziemnej walce, codzień potwierdza tę decyzję i te obyczaje naszego narodu.

I pomimo, że ostatnie lata mogłyby nas oduńczyć ufności w czyjąkolwiek wdzięczność, a co gorsza mogłyby zachwiać w nas wiarę że piękne hasła sprawiedliwości i wolności gdzieśkolwiek są głoszone naprawdę szczerze, taki jest urok bohaterstwa i odwagi, że wierzymy, iż wojsko polskie przypomni całemu światu czem jesteśmy, że wzbudzi wstyd u tych, którzy gotowi są przystać na groźące nam krzywdy.

Niema też napewno tak trzeźwego Polaka, który by nie myślał ze wzruszeniem, że armja generała Andersa, że dywizja generała Duchy, że nowa nasza dywizja Kresowa idą oto tym samym szlakiem, którym przed 150 laty szedł pierwszy powstańczy żołnierz polski, niosąc urodzone na włoskim biwaku słowa niezachwianej nigdy nadziei, rzucone jak o-chocze wyzwanie złym losom i złym siłom.

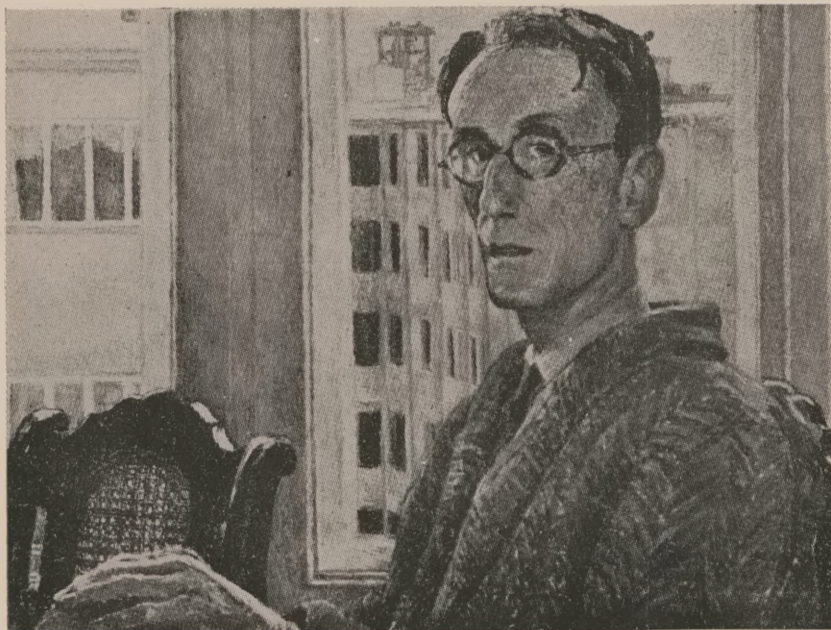
Ze łzami w oczach myślimy o tej znów przemierzanej przez polskiego żołnierza dalekiej drodze i posyłamy temu żołnierzowi tułaczowi, temu najszlachetniejszemu rycerzowi wolności całą naszą wiarę od której odsuwamy wszelkie choćby najlogiczniejsze zwątpienie, wiarę, że dojdzie ón do Polski, do Polski całej, wolnej i niepodległej, bo gdyby taką nie była, trzebaby zwątpić w ludzkość, trzebaby powiedzieć, że miliony poległych zginęły nadaremnie.

Naszym wodzom, naszym żołnierzom wołamy z daleka z serc udręczonych a przecież pełnych ufności “Z ziemi włoskiej do Polski...”



FELICJA LILPOP-KRANCOWA

OD KAPISTÓW DO "ORLA BIAŁEGO"



Józef Czapski: Autoportret

Gdyśmy latem 1940-go roku mówili z śp. Bolesławem Micińskim o tym rzadkim gatunku ludzi, którzy jak szlachetny kruszec, z każdej próby, im była trudniejsza, tem doskonalsi wychodzą — zaraz nam nazwisko Józefa Czapskiego na pamięć przyszło. Ale wtedy niewiele było o nim wiadomo prócz najważniejszej troski, czy żyje on jeszcze — mury Starobielska odgradziły się bowiem milczeniem od reszty świata.

Minął jeden długi rok wojny, minął drugi i oto pamiętam radosne wzruszenie Janka Lechoń, gdy otrzymał od nowomianowanego Szefa Wydziału Propagandy i Oświaty Armji Polskiej na Wschodzie — a był nim nie kto inny jak właśnie Czapski — telegram, w którym tenże prosił go o przyjęcie udziału w jury konkursowym na pamiętnik żołnierski, ogłoszony przez dowództwo Armji Polskiej na Wschodzie i redakcję „Białego Orła”.

„Od Kapistów do „Orla Białego” jakaż to niezwykła droga” — powiedział wówczas Lechoń.

Istotnie, wydawałoby się mogło, że przejście z roli czołowego malarza Kapistów (K. P.—Komitet Paryski, zawiązany na Akademii Krakowskiej w r. 1924 przez uczniów Pankiewicza celem wyjazdu na dalsze studia do Paryża), jednej z najwybitniejszych indywidualności artystycznych tego pokolenia na oficjalne stanowisko w

wojsku — jest krokiem samym przez się niezwykłym. Skąd takie opanowanie nowego terenu, skąd taki kapitał energii w jednym człowieku, który przecież między tamtą a tą swojego życia epoką odżył wraz z innymi kampanję wrześniową i blisko dwa lata sowieckiej niewoli, nim się znalazł szczęśliwym wyrokiem Opatrzności w grupie kilkuset oficerów.

I oto ten rozdział życia, którego poszczególne karty poznamy zapewne kiedyś, stał się w najobiektywniejszej ocenie artysty „przerwą w pracy”; poświęca on jej głębokie i analityczne uwagi w doskonałym studjum o technice malarskiej, drukowanym w dwutygodniku „W drodze” wychodzącym w Jerozolimie. „Na to, żeby coś osiągnąć, nie wystarczy iść, trzeba lecieć” cytuje on w tym samym artykule słowa św. Teresy z Avili.

I widać, jak te słowa, zastosowane do malarstwa — głęboko mu w psychikę zapadły. Bo jak inaczej nazwać, jakże lepiej scharakteryzować owo namiętne oddanie się sprawie od pierwszej chwili odzyskanej wolności, pośpiech nadrobienia straconego czasu, gorączkę wysyłanych telegramów do Londynu, Washingtonu i New Yorku, w których nie uwzględnia on nawet czynników czasu, cenzury i transportu. Raz chodzi o książki i czasopisma, kiedy indziej o wystawę malarską, która po objeździe

Kairu, Aleksandrii, Bagdadu, Tel-Awivu i Jerozolimy przestana ma być do Ameryki — to o drukarnię polową, „tak niezbędną przy naszych ciągłych przesunięciach, daj Boże, coraz bliższych Polski” — to wreszcie o oświatę w wojsku.

„...Moglibyśmy piekło wybrukować obietnicami przysłania nam książek i druków z Londynu czy nawet z Ameryki” — pisze w którymś liście — „ale narazie to są wszystkie obietnice a w rzeczywistości żyjemy się własnym przemysłem. Wydział ma dwa pisma, teraz zaczyna wydawać książki i w najbliższym czasie montujemy pisano codzienne wojskowe. Palestyna została doszczętnie wypompowana z książek polskich i wszystko mało... Beznadziejnie airgraphujemy na wszystkie strony świata, żebyście nam pomogli wierszami, korespondencjami, artykułami poważnymi i lekkimi. Mamy trzy teatry: naprawdę świetnie postawiliśmy „Damy i Huzary”. Potrzebny nam koniecznie repertuar. Pomo nowe sztuki napisał Cwojdzński, może Lechoń i Wierzyński. Pamiętajcie, że tu jest kilkadziesiąt tysięcy Polaków i że jest zwyczajny obowiązek tym ludziom dać słowo polskie.

„Myślę o zorganizowaniu wystawy żołnierza polskiego w Ameryce. Trzeba dla takiej wystawy, równolegle z jedną salą na poziomie naprawdę europejskim, dać również materiał ilustracyjny z życia armji, wprost propagandowy a także pokazać komplet fotografii (kier. działu fot. Witold Ostrowski). Mamy bardzo piękne artystyczne duże powiększenia ilustracyjne naszego życia na pustyni. Poza tem film o dzieciach, który się zaczyna wśród wszy i łachmanów a kończy się w pięknych obozach junačkih pod piramidami, nakręcony przez Waszyńskiego i Toma, też przez nasz wydział.”

„Może najważniejszą sprawą jest dziś doszkalanie młodzieży w wojsku. Udało się nam przeprowadzić rozkaz, wysyłający około 500 żołnierzy do Palestyny na małą i wielką maturę, oraz wysłanie kilkadziesiątu niedokończonych medyków i studentów na uniwersytet w Beyrucie. Mamy jednak inną ideę fixe, jeszcze w stanie dość płynnym. Chcielibyśmy wysłać 20-30 studentów politechniki na politechniki amerykańskie, w mundurach polskich. Byłoby to i propagandowo efektowne i praktycznie dla Polski ważne... Czybyście wy tam, z Ameryki, nie mogli tej sprawy po-

przeć, fundując np. parę stypendjów? Myślę z przerażeniem o wyniszczeniu inteligencji polskiej i wbrew wielu trudnościom, które istnieją w każdej akcji, wielu bardzo naszych dowódców rozumie wagę tego zagadnienia i gotowi są dopomagać w doksztalcaniu młodzieży”.

„Robota jest trudna i chaotyczna” — pisze dalej Czapski — „ale przecież dość dużo się robi”. I jedno zdanie, w którym odżywają nagle wszystkie dawne wspomnienia: najpierw znane tylko jak w legendzie nazwiska tej grupy artystów, którzy już z Paryża wrócić mieli do Polski, zwracające uwagę „europejskim” poziomem ich płótna w Salonie u Baryczków a potem już lata wytężonej pracy, związanej z Instytutem Propagandy Sztuki i Związkiem Plastyków, z osobą Karola Stryjeńskiego i Felicjana Kowarskiego. „Mam wrażenie, że gonię za jakąś utysiąkrotnioną imprezą Kapistów i w tej robocie twoja pomoc szalenie mi jest potrzebna”. A przecież nietylko wszelkie imprezy Kapistów ale samo powstanie grupy ale jej artystyczne osiągnięcia i wpływ, jaki dzięki nim miała następnie wyrzucić na młodszych kolegów, w dużej mierze właśnie na osobie Czapskiego się opierały.

Artysta o zdecydowanie własnym i dojrzałym obliczu, zatopiony w mistycznych dociekaniach i skupionej kontemplacji, gdy tworzył — poza pracownią stawał się Czapski człowiekiem o bardzo ożywionej działalności, hojnie szafującym swym czasem, towarzyskim, doskonale uspołecznionym. Instynkt społeczny, który u jednostek niezorganizowanych bywa często elementem destrukcyjnym, w organizacji psychicznej Józefa Czapskiego przybrał formę jakiegoś płomiennego apostołstwa, zapamiętałego oddania się sprawie, której służył. Każde płótno, wyszłe z jego pracowni, każdy odczyt (a wygłaszał ich wiele), każdy napisany artykuł czy rozprawa malarska, zwłaszcza zaś kapitalne studjum o Pankiewiczu i szkic o „Cezannie i świadomości malarskiej” cechuje bezkompromisowa postawa artystyczna i rzetelność uczciwego wysiłku.

Pisze dziś o nim jeden z kolegów, wspominając najcieńsze chwile niewoli, że „był on naszym płomieniem intelektualnym i najdroższym kolegą” staje mi przed oczyma ołówkowy autoportret z tych czasów, reprodukowany w „Wiadomościach Polskich” w Londynie jako jeden z pierwszych dokumentów „stamtąd”, gdy otworzyły się — teraz wiemy, że nie dla wszystkich — mury więzienia. Przejmujący portret, boleśniej niż jakiegokolwiek słowa wymowny.

JAN LECHOŃ

Mokotowska piętnaście

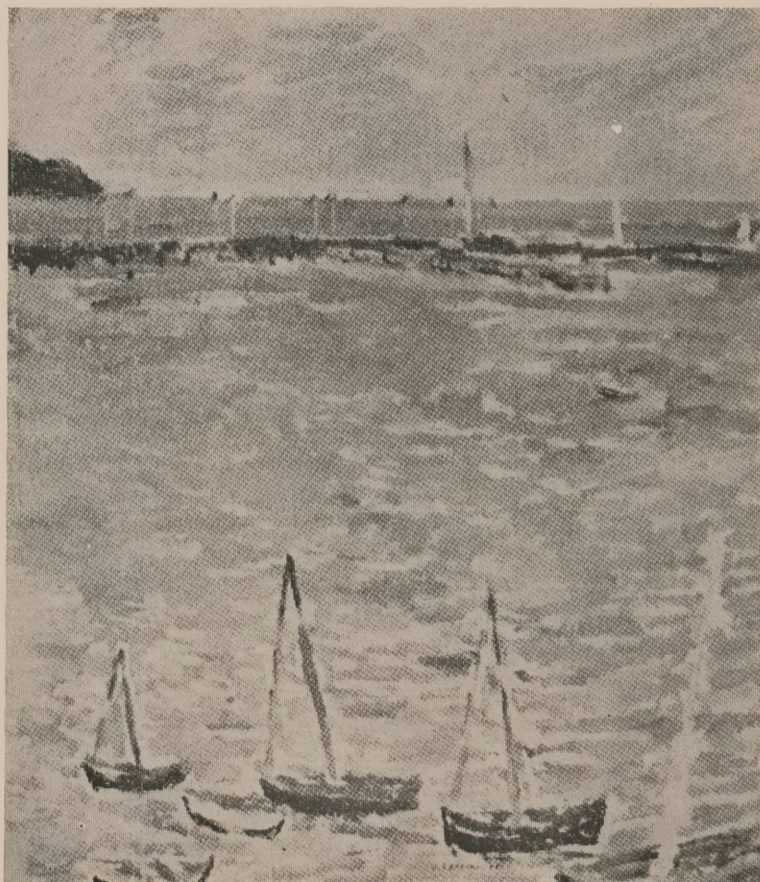
*Nad obce wielkie miasto zmrok zapada obcy,
Stoję w oknie i patrzę jak wolno śnieg prószy.
Ach! Było to tak dawno, kiedy, mali chłopcy,
Biegliśmy przez Warszawę, rozcierając uszy!*

*Po tylu odtąd latach czyż jestem tak inny?
Gdy wszystko leży w gruzach mnie zdaje się tylko,
Że znowu się otworzy nasz pokój dziecienny
I powiem „Ja stąd przecież wyszedłem przed chwilką”.*

*To przecież moja Matka szyje ręką drobną
I widzę pochylony cień Ojca na ścianie,
Co nocami odrabia robotę osobną,
Za którą dla nas wszystkich ma kupić ubranie.*

Płomień intelektualny. Jak prosto powiedziane i jak prawdziwe. Do takiego zadania, jakie życie przed nim stawia, podchodzi ten człowiek z tą

samą wewnętrzną powagą, z uczciwością wykluczającą wszelką koncesję, z płomiennym zapałem i gorącą wiarą. Wiarą, która góry przenosi.



Józef Czapski: Pejzaż

KS. JÓZEF JARZĘBOWSKI (Detroit)

Ewangelja

To nie prorocy mówią. To nie Apostoł zaklina.
 To mówisz Sam: TY — SŁOWO I PIERWSZA PRZYCZYNA.
 A mówisz wciąż, po wszystkich kościołach na świecie,
 jak w on czas w Kafarnaum czy Genezarecie.
 Głos Twój obiega ciągle sumienia i lądy.
 Cieszy, Wskrzesza umarłe. I oczyszcza trądy.
 Dmie się pycha, fałsz jamy ryje pracowicie,
 a Ty mówisz: BEZE MNIE — i cóż wy MOŻECIE?!
 Gwałt pięścią rządzi światem, wsparty na bagnecie,
 a Ty mówisz: BEZE MNIE — i cóż wy MOŻECIE?!
 Gorą żywe pochodnie. Żyga gilotyna
 ciepłą kwią. Hitler wiesz, a Stalin wyrzyna;
 wyją wściekłe tygrysy i syk słychać węży —
 ale Tyś nas zapewnił już: JAM ŚWIAT ZWYCIĘŻYŁ.
 Z miazgi ciał pożądliwych, z krwi wrzącej płomieni
 świętość wywodzisz, mówiąc jej: BŁOGOSŁAWIENI.
 Uczonych Nikodemów łamiesz sylogizmy
 i jawno-grzeszne we łzach wracasz w próg ojczyzny.
 Miłościwie nawiedzasz konających łóżka
 i do piersi przygarniasz dziecięce serduszka.
 Jesteś wciąż: MISTRZEM, SIEWCĄ, PASTERZEM, RYBITWĄ,
 SŁOŃCEM, SERCEM, OFIARĄ, ŁASKĄ I MODLITWĄ.
 Więc na ziemi wygnania w egoizmie skrzepłą
 sieje się rosa światła, płynie boże ciepło. —
 Skąd? —
 Z za drzwi bazylik, przez kościołków drzwiczki,
 z kart mszału i pożółkłych kart ewangeliczki.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Mazurek Szopena

W jerozolimskim zaułku
 cyprysy błędzą i smutki.
 O, moja przyjaciółko,
 wieczór otula ogródki,

tchnące snem i legendą,
 pełne ciszy biblijnej,
 woniejące lawendą
 i wonią melodyjne.

Srebrną świeci nam glorię
 księżyc, płynąc jak czółno,
 Niedźwiedzica i Orjon
 pokazują na północ.

Na północ wiatry wieją,
 na północ lecą myśli
 z rozpaczą i z nadzieją,
 ku Warszawie, ku Wiśle.

Cisza otula nas senna,
 o, moja przyjaciółko...
 I nagle! — mazurek Szopena
 w jerozolimskim zaułku!

Gra dobrze nieznanym pianista
 melodię sercu znajomą,
 nuta srebrzysta i czysta,
 nuta z Kraju i z domu.

Mazurska, kujawska nuta
 wraca do nas, serdeczna,
 ale dzisiaj zatruta —
 i wczorajsza i wieczna:

— o białej narzeczonej,
 — i o koniusze biednym,
 — o łące, o zielonej,
 wciąż o tem samym, o jednym.

A babka mi to grała
 na starym fortepianie
 w pokoju, gdzie fotografia
 dwóch braci rozstrzelanych.

Bracia w czarnych czamarach
 leżą w płockim ogrodzie,
 a babka niedawno zmarła
 niespodzianie gdzieś w drodze.

Hucznie zatupią basy,
 zapłacze trel w wiolinie
 i przez sosnowe lasy
 serce Wisłą popłynie.

Pójdzie piaszczystym traktem,
 pójdzie szlakiem tułaczym
 i wiolinowym taktem,
 jak mazurek, zapłacze...

Za głośno w starym zaułku
 pianista smaga ciszę:
 po sercach, o przyjaciółko,
 biją nas białe klawisze.

Rozmowa z historją

Mistrzyni życia, Historjo,
 zachciewa ci się psich figłów:
 z za kraty podgląda Orjon,
 jak siedzimy razem na kiblu.

Opowiadasz mi stare kawały
 i uśmiechasz się, nawpół drwiąca,
 i tak kiblujemy pomatu —
 ty od wieków, ja od miesiąca.

O Nieśmiertelna, skądże
 ta skłonność do paradoksów,
 i powiedz mi — czy to mądrze
 całemu światu krew popsuć?

Bo skoro na całym świecie,
 jak nie wojna, to stan wojenny—
 Historjo, powiedz mi przecie:
 po diabła tu kiblujemy?

Rewolucyjny poeta
 ma zgnieć w tym mamrze
sowieckim?!
 Historjo, przecież to nietakt,
 ktoś z nas poprostu jest
dzieckiem!

Więc wstydz się, sędziwa damo,
 i wypuść z Zamarstynowa...
 (Na kryminał zaraz za bramą
 zasłużymy sobie odnowa).

Piękno Polski



Droga w Pińszczyźnie

MELCHJOR WAŃKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

Korzeniewscy, wywiezieni przez Rosjan ze Lwowa na Ural jako "wolno-osiedleńcy", dowiadują się po roku nędzy, głodu i cierpienia, że są "amnestjonowani" i w tragicznych warunkach tułają się po Rosji w poszukiwaniu władz polskich. Oto końcowe fragmenty opowiadania Hanki:

(Dokończenie)

— Tak jest — odpowiada szofer. Ale nie może wskazać, gdzie się obraca sędzia.

— Czy pan nie mógłby udzielić mi informacji o podchorążym Henryku K.?

Szofer wpatruje się w Hankę:

— A pani?

— To mój szwagier.

— To pani jest panna Korzeniewska? — mówi ze zdumieniem; a mnie sobie pani nie przypomina?

Teraz dziwi się Hanka.

Szofer pracował razem z nią na Uralsu. Dostał się już dosyć dawno do wojska. I dlatego on wygląda o tyle lepiej a ona o tyle gorzej, że się poznać nie mogli.

— Wie już Pani, że pani Ola nie żyje?...

A z Olą było tak. Mąż wystarał się o możność zabrania rodziny. Wówczas w Rosji robiło się poprostu tak, że żołnierze dzielili się swemi racjami z polską ludnością cywilną. Im więcej tych biedaków zjeżdżało, tem bardziej malały racje.

Przywiózł rodzinę na stację ale wieźć mógł tylko Olę. Żołnierze zanieśli ją z dworca do jakiegoś kąta wymajętego przez męża. Tam dogorywała trzy dni i zmarła.

Trzy dni też czekała na stacji kolejowej pozostała rodzina: matka, Jurek i Antosia. Kiedy dojechała na rano czwartego dnia do Kermine, komendant polskiej placówki na dworcu, którym był współtowarzysz uralskiej niewoli, Wnek, skierował ich — wprost do kostnicy „jeśli pani jeszcze chce zobaczyć córkę”.

W kilka dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci siostry Hanka, leżąca w stanie zupełnego wyczerpania, otrzymała list od Wnuka. Przysłał go korzystając, że z Kermine szła ciężarówka do Buchary po mąkę. Wzywał ją do skorzystania z ciężarówki i przyjechania do Kermine, bo „choć liczyć na miłosierdzie Boskie, stan matki pani jest bardzo zły”.

Ciężarówka ma ruszyć dopiero wieczorem. Wieczorem zajmuję w niej miejsce, ale napróżno. Ci co mieli jechać, nie zjawiają się. Siedzi całą noc w ciężarówce i myśli o matce.

Na drugi dzień ruszono już dobrze w dzień ale nie do Kermine. Cięża-

rówka miała polecenie jechać do Kahane po lekarstwa. W Kahane znowu wszyscy się rozbiegli. Słońce niemiłosiernie praży. Dziewczyna boi się opuścić wóz i siedzi na nim do wieczora.

Ruszyli na noc, zblądzili. Chociaż Kermine odległe od Kahane o 136 kilometrów, jechali całą noc.

Po 36 godzinach nie wysiadania z wozu, po 48 godzinach od otrzymania listu, Hanka dobrnęła do matki. I do Jurka. Antosia gdzieś zapadła w obozie dla wygnańców, gdzie łatwiej było żebrać o żywność.

W uzbeckiej chałupie leżeli matka i syn. Chodzić już nie mogli. Opuchlizna z nich zeszała i zarysował się szkielet... straszny.. jak tedy u Oli. Jurek ma twarz starego człowieka, całą w zmarszczki.

O zapyłone okienka chałupy uderza śpiew rzeźkich głosów. To obóz junaków. To tacy jak Jurek!... Ratowani przez przejeżdżające eszelony żołnierskie, biedne dzieci konające z głodu po stacyjkach trasy, którą szło wojsko, hodowani z całą miłością, z całą troską tych żołnierzy, którzy też nie wiedzieli, co z ich dziećmi się stało.

Jurek podniósł swoją starczą twarz, słuchał i opadł na legowisko.

Hanka zakrzętała się koło porządków. Śpiew oddał się jak odchodzące życie. Chora wodziła oczami za córką.

— Skąd ta Hanka bierze w sobie siły? — szepnęła do Jurka.

Dwa tygodnie Hanka pielęgnuje matkę. Pomaga jej przewracać się na drugi bok, bo chora nie ma już na to siły. Przychodzą chwile nieprzytomności, coraz dłuższe. Wreszcie biorą ją do szpitala.

W szpitalu wiele młodych zdrowych pielęgniarek. Hanka słyszy śmiech. Ten śmiech przychodzi do niej z jakiejś przejrzystej powierzchni dawno zapomnianych wspomnień życiowych. Zadużo pełzała po dnie nędzy.

Odwiedza matkę codziennie; trzyma chorą za rękę, ale matka jej nie poznaje.

Piątego dnia pobytu w szpitalu — był to 29 czerwiec 1942 r. — wchodząc do szpitala spotkała jakąś wyfiokowana pielęgniarka:

— O! Panna Haneczka... A pani mamusia już w kostnicy.

Kostnica zamknięta, ktoś z kluczem się zapodział... Powtarza sobie: “Trzeba mamusię ubrać, trzeba mamusię ubrać...”

Dopiero wieczorem dostała się do zmarłej. Oddawszy ostatnie posługi, biegła do samotnego, cały dzień brata.

— Co się stało? — wlepił w nią wzrok od przegu.

Przysiadła przy nim na tapczanie, wzięła starczą męczeńską głowę tak, jak widziała, że to robiła matka. Przytuliła do siebie z całą żarliwością:

— Jurku — zostaliśmy sami.

...Trumien było brak. Pożyczano więc tylko trumnę na dowieszenie do omentarza. Tam ciało wyjmowano z trumny i kładziono w dół a trumna wracała. Jurek na pogrzebie nie był, Hanka napróżno starała się o jakieś deski. Wróciła i zaniemogła.

Dziesięć dni leżały dzieci na łasce innych ludzi. Dziesięć dni patrzyły w kwadrat małego okienka, w którym wstawały świty i zasnuwały się zmierzochy. Za tem okienkiem — już nigdzie nie mieli nikogo. Antosia zmarła. W trwodze przed śmiercią — jadła, gorączkowo jadła. W dniu śmierci wykłócała się o chleb.

Czasem w nocy Jurek pytał z niepokojem:

— Hanka — ty umierasz?...

— Nie, Jurku. Czemu ty nie śpisz?

— Staram się nie zasypiać. Takie straszne sny przychodzą.

Zapalała kaganek, żeby mu dodać odwagi. Chyłkiem patrzyła w lusterko; z lusterka widniała zielona pomarszczona twarz.

Po dziesięciu dniach gorączka Hanki spadała. Ale Jurek zaczął mieć ataki serca. Dziewczyna cały wysiłek wkłada, aby go ratować. Przychodzi powrotna biegunka. Chłopak czasem nie ma sił podnieść głowy.

Punkty sanitarne są tak przeciążone, że do domu wezwać lekarza nie można, a Jurek nie ma sił, żeby na punkt dojść.

Pusta ulico! — Przecież są gdzieś jakieś środki, przyjdzie skądś jakaś pomoc!...

— Pomoc — przyszła. Tak jak przyszła pomoc Oli i matce. Zapisano ich na transport do Persji jako sie-

roty. Znowu zaczął się wyścig pomocy ze śmiercią.

Wyjazd naznaczono na 7 sierpnia 1942 r.

Ale mogły jechać tylko dzieci zdrowe.

Jurek zaciął zęby.

— Pojadę — powiedział zdecydowanie.

W dniu wyjazdu dwaj żołnierze splekli ręce w krzeselko — donieśli go na peron. Na dworcu czekali od rana do wieczora. Wieczorem, kiedy trzeba było siadać do wagonu — Jurek wstał nadludzka mocą i poszedł. Szaro było. Nikt im się nie przyjrzał. Z trwogą szła za nim siostra, gotowa chwycić go pod ramiona.

Ewakuacyjne rozkazy dotyczyły tylko tych dzieci, które miały jakąś szansę wyżycia i odratowania.

Gdy przychodziła komisja lekarska Jurek, niezmiernym wysiłkiem woli, dźwigał się na nogi, żeby pokazać, że może ustać o własnych siłach. Hanka stała przy bracie, drżąc z lęku, że chłopiec nie wytrzyma, że ugną się pod nim nogi i zwali się bezwładnie

na ziemię, niezdolny do dalszego partego wysiłku.

Tak dojechali nad granicę perską, gdzie już tylko wąska linijka na mapach świata dzieliła ich od nowego życia, przekreślając dwuletnie konanie.

I wtedy właśnie przyszła chwila, w której Jurkowi ostatecznie zabrakło sił. Gdy lekarze zbliżali się do niego, Jurek sprężył zwiotczałe mięśnie, wysilił każdy mięsień beznadziejnie wyniszczonego ciała, chciał wstać... i nie mógł. Doktor przyjrzał mu się uważnie. Hanka przypadła do brata, ogarnęła go rękami, chciała go dźwignąć, podeprzeć. Nie pomogło.

Rozdzielono ich nad granicą perską, po długich miesiącach wspólnej męki. Jurek miał zostać.

Tuż przed wyjazdem Hanka poszła do brata, pożegnać się. Wzięła ze sobą fotografie z Polski, pieczołowicie chowane przez te dwa lata, jakieś tenisy wakacyjne, letnie sukienki, uśmiechnięte grupy rodzinne, symbole tych ciastek i torcików, którymi Ola kiedyś miała podejmować gości w swoim domu w Polsce, po wojnie. Bez

słowa wcisnęła fotografie między kościste palce Jurka.

— Nie dawaj mi, — powiedział chłopiec. — Weź ze sobą.

— Przecież mi je oddasz jak przyje...” Słowa uwięzły Hance w gardle, kłamiwe słowa nieprawdziwej nadziei. Trzymając Jurka za rękę, czuła pod palcami ostre, sterczące kości, czuła Jurkowe życie, wyciekające jej z pomiędzy palców ostatnim tchem.

— Dowidzenia, Jureczku — powiedziała, sama w to nie wierząc — Niedługo może się znowu zobaczymy...

Jurek nie miał już siły odpowiedzieć. Cień dawnego jasnego uśmiechu przemknął mu po starczej twarzy i palce leciutko, z wysiłkiem, owinęły rękę Hanki, odpowiadając na uścisk.

W sześć miesięcy potem, warując jak pies, szukając brata w każdym transporcie ewakuacyjnym, wypytując o niego wszystkich, Hanka dowiedziała się, że Jurek skonał tego samego dnia, w którym się rozstali.

Hanka Korzeniewska została sama.

K o n i e c .



„...Hanka dowiedziała się, że Jurek skonał tego samego dnia, w którym się rozstali. Została sama.”

Olbrzymia sala Kasyna Oficerskiego dywizjonu 301, tonęła w mroku.

Gdzieś z ciemności zbliżała się do nich nowa postać, kulejąca, z laską w ręku. Mocno utykała na lewą nogę. Wyglądał śmiesznie w wyjściowym mundurze z laską. Rozbite usta i lewa strona twarzy, okryta czarną plamą. Już z odległości paru kroków zapytał siedzących przy kominku:

— Czy obecność moja nie będzie kolegom przeszkadzała? — w głosie jego, było wiele ironji. Wiedział dobrze, czem był tego dnia...

Siedzący koledzy podnieśli się natychmiast. Przybysz wybrał najbliższe ognia miejsce. Odłożył laskę. Poczęstowano go papierosem.

— Słuchaj, Kazik — zaczął jeden z kolegów — niepotrzebnie się całkiem przejmujesz. Ciesz się, że jeszcze żyjesz. Każdemu może się to samo zdarzyć!

— Szteker, opowiedz — prosił go któryś z kolegów — całą historję.

— To dla nas może się przydać na przyszłość — dodał inny, zamawiając u czekającego w drzwiach barmana, następną kolejkę.

— Chyba, że tak... — rzucił Szteker, potem poprawiając się zlekka w głębokim fotelu, zaczął opowiadać swą historję:

— Wszysko się zaczęło od tego, że nas odesłali nad Boulogne. Te draby nauczyły się strzelać... Pierwszą serją nas trafili. Zdecydowałem się lecieć do celu. Po zejściu z Mannheimu, przedzi, będący moim drugim pilotem powiada, że w prawem skrzydle mamy tylko pięćdziesiąt galonów. W lewym mieliśmy ponad dwieście. Nawigatorowi kazałem prowadzić się do najbliższego lotniska w Anglii. Zamierzaliśmy lądować pod Londynem. O benzynę już się więcej nie martwiłem. Do zamierzonego lotniska mieliśmy zaledwie trzy godziny lotu. Nie mieliśmy znikąd żadnej pomocy. Niebo, pokryte chmurami, nie pozwalało nawigatorowi na użycie astru. Radiotelegrafista nie mógł dostać Anglii. Mylili go na dodatek, zgłaszające się bez przerwy stacje niemieckie. Te właśnie cholery są wszystkimu winne...

— Lecieliśmy pod raz obranym kierunkiem prawie trzy godziny. Wreszcie nawigator podał, że za dziesięć minut będziemy nad zamierzonym lotniskiem, znajdującym się około dwudziestu mil na południe od Londynu. Cieszyliśmy się na samą myśl, że dalszy lot obejdzie się już bez żadnych przygód, gdy nagle pod nami otwarło się piekło. Byliśmy w samym jego środku. Na wysokości 3000 stóp. Na szczęście jeszcze w chmurach. Trzask pękających pocisków, gwizd przelatujących odłamków artyleryjskich, chmury oświet-

KAZIMIERZ SUSZCZYŃSKI

“We Do Not Beg for freedom — We fight”



Msza święta na lotnisku

lone słumionem światłem reflektorów, miały kolor szaro-niebieski, zmieniający się w odcień czerwony. To błyski dział artylerji. “Stand by, for parachute drill” podałem do załogi. Sam gwałtownym skretem zmieniłem kierunek lotu z powrotem. Na południe. Byłem pewien, że pod nami był Londyn. Radiooperatorowi kazałem nadać sygnał “S. O. S.”. Po chwili dostaliśmy depezę z Bomber Commandu: “Pozycja: 40 mil na południe od Cherbourg’a”. Tak! To była nasza pozycja. Pytam nawigatora, jak to się stało. Wiatry—powiada—inne niż podaje komunikat meteorologiczny.

— Zdecydowałem się na powrót do Anglii. W samolocie zostało zaledwie 60 galonów benzyny. Wyrzuciliśmy z samolotu kontenery po bombach zapalających. Napełniliśmy powietrzem, umieszczone w komorze bombowej pływaki. Przygotowani byliśmy na wodowanie w każdej chwili. Lecieliśmy do Anglii. Przedni strzelec wystrzelał wszystko co miał. Tylko jeszcze strzelał. Byliśmy już nad wodą. Wyspa była za nami. Nasze tylnie karabiny jeszcze posyłały dziesiątki pocisków w stronę wyspy. Ci-

sza. Teraz już byliśmy bezbronni. Karabiny nie były już nam więcej potrzebne. Wyrzuciliśmy je do morza. Do morza poszło wszystko co było zbędne w samolocie. Lecieliśmy na wysokości 200 stóp. Silne i porywiste wiatry, deszcz i niskie chmury nie pozwalały nawet myśleć o możliwości pomyślnego lądowania na morzu. Załoga była dziwnie spokojna. Właściwie każdy zdawał sobie sprawę, że byliśmy straceni. Jedynym dla nas ratunkiem był ląd... Wszyscy wypatrywali tylko lądu. Ja martwiłem się tylko o benzynę. Silniki mogły stanąć każdej chwili. Wreszcie przed sobą ujrzałem mrugające światło. To musiał być ląd. Oba zegary benzynowe stały na zerze. Jeszcze chwilę, myślałem, za chwilę możemy być uratowani... Weszliśmy na ląd. Zwiększyłem moc silników i podciągnąłem samolot do góry. Wysokość rosła. “Za chwilę będziecie skakać” — podałem do załogi. “Idź do góry. Tu jest wysoki teren” — domagała się załoga. Nie sprzeciwiłem się. Ciągnąłem samolot w górę, myśląc jednocześnie i o wysokości linjowej samolotu. 1500 stóp. 1700... 1800... prawy silnik przerywał. Samolot skręcił w prawo. Wy-



Przed lotem

równałem go... drugi silnik zakrzutusił się i przestał pracować. “Koniec! — rzuciłem załodze — Skakać!” Rozkaz wykonali natychmiast. Samolot tracił wysokość. Radiooperator jeszcze ostatni raz nadał depezę o opuszczeniu samolotu i ostatnie “S. O. S.” poszło na fale eteru... Wysokość 1200 stóp. Skoczył nawigator. Po nim radiooperator. Ja próbowałem raz jeszcze uruchomić silniki. Nic nie pomagało. Samolot stracił szybkość i zwinął się do korkociągu. Skoczyłem sam. Spadochron otworzyłem natychmiast. Silne podderwanie do góry przez otwierający się spadochron i jednoczesne uderzenie o ziemię lewą stroną ciała. Wstałem natychmiast. Spadochron, ciągnięty podmuchem wiatru, zwałił mnie znów. Czuję, że kaleczę sobie twarz. Spadochron ciągnął mnie po ziemi. Opanowałem go wreszcie! Odpiąłem go. Nie wiedziałem, w którą stronę mam iść.

Dostałem się wreszcie do jakichś zabudowań. Zbudzeni mieszkańcy Anglii wzięli mnie w pierwszej chwili za Niemca. Nie miałem siły ich wogóle przekonywać o swej narodowości... straszliwy ból w lewej nodze, biodrze

i ręce... Krwawiąca twarz... Dali mi szklanke whisky. To zrobiło mi lepiej. Sprowadzili policję. Wylegitymowałem się. Posadzili przy kominku. Ciepło mi było... ale obawa o załogę, myśl o jej losie nie dawała mi spokoju. Obecny oficer policji zaalarmował całą okolicę. Nakazał poszukiwanie pięciu airman'ów. Sam w międzyczasie motocyklem zabrał mnie do rozbitego samolotu, gdzie czekała już na nas sanitarka i policja R. A. F. Obejrzałem szczątki samolotu. Było ich stosunkowo niewiele. Parę drzazg. Oto co zostało z Wellingtona... Lekarz R. A. F'u udzielił mi pierwszej pomocy. Narazie do końca nocy ulokowano nas na jednej ze stacyj Radiolocation. Mówię nas, to znaczy nas trzech: nawigatora, radiooperatora i mnie. O pozostałych trzech jeszcze nic nie było wiadome.

Dowódca stacji nakazał poszukanie innych... Nie wiem, jak długo spałem. Rano dowiedziałem się, że reszta załogi nie została jeszcze znaleziona. Wyplotowaliśmy na mapie pozycję każdego z nas po wyskoczeniu. Ja byłem najdalej od morza, 2 mile, radiooperator jedną, nawigator dwieście

yardów... zrozumiałem, gdzie musieli być pozostali... Nikt mi nie potrzebował mówić — w morzu! Trzech ludzi z mojej załogi w morzu!... Badania w szpitalu w Exeter, powrót do dywizjonu, raport, spojrzenia kolegów... Nie mogłem ich znieść! W oczach każdego z Was widziałem, iż posądzaście mnie o to, że własną ambicją zgubiłem, utopiłem kolegów! Nikt z Was nie zapytał mnie, czy to była moja wina! Dlatego też postanowiłem pójść ich śladami... Śmierć ich postanowiłem pomścić. Pomścić nową wyprawą na bombardowanie! Dowódca nie chciał, a może nie mógł mnie zrozumieć. Nie chciał pozwolić mi na nowy lot z Wami. Poszedłem do Komendanta Stacji. “Turyn — mówi — poważny cel, długi lot...” Nie wytrzymałem i rzuciłem mu: “We Poles, do not beg for freedom—we fight!” Jestem zdrow! Dlaczego nie mogę lecieć? Ja lecieć muszę! Teraz lub nigdy! Powiedziałem mu całą prawdę. Ponieważ lekarz dywizjonu nie może mi dać urlopu, jako że nic mi nie jest i że jestem zdrow, ja o urlop prosić nie będę. Dotychczas zawsze po skoku załogi dostawały 14 dni urlopu. A czem jest gorsza moja załoga? Czy oni ponoszą winę za to, co się stało? Jeżeli ktoś jest winien to nikt inny tylko ja! Ja i jeszcze raz ja! That's all, Sir!.. Spojrzał się na mnie i rzucił: “I wish you good luck!” Wróciłem do Pana Majora i zameldowałem o otrzymanem pozwoleniu.

— Poleciałem — ciągnął dalej — z załogą na ochotnika. Dzięki Szymkowi! On zebrał załogę z ochotników, z tych, którzy nie wierzyli w pecha, ani też w nieszcześliwych ludzi! Sam dziwiłem się tym ludziom. Jak mogli zdobyć się na tyle zaufania do mnie, który nie dalej, jak dwie noce temu, kazał załodze skakać! Ja, który sam nie mogłem jeszcze chodzić bez laski... Nigdy nie zrozumiałem nawet Ciebie, Szymek, jak Tyś mógł zdecydować się na lot ze mną...

— Ja rozumiałem cię dobrze, odrzekł zapytany, — znam ludzi i wiem czego im czasami potrzeba! Tyś wówczas potrzebował, żeby ci okazać zrozumienie. Wiedziałem dobrze, na coś się zdobywał, Tyś może sam nie zdawał sobie sprawy z męki jaką będziesz przechodził podczas długiego lotu? W oczach ci to czytałem.. A potem w locie obserwowałem cię. Ja ci zazdrościłem charakteru i zaparcia. Tyś nam właściwie pokazał, co znaczy zaparcie do walki.

Szteker przerwał mu: — Zaparcie i zapał niema tu nic do rzeczy. Tu chodzi o coś więcej. O to, że my nie prosimy o wolność — my walczymy! — Tak — dorzucił inny, — “We do not beg for freedom — we fight”.

TYGODNIK DLA KOBIET

(pod redakcją pani Wandy)

HELENA RUBINSTEIN, SŁYNNNA EKSPERTKA PIĘKNOŚCI, WRACA Z 9-CIO MIESIĘCZNEJ PODRÓŻY PO AMERYCIE POŁUDNIOWEJ

Pełna zapału i nowych pomysłów powróciła onegdaj słynna nasza rodaczką z podróży po Południowej Ameryce. Powróciła zachwycona kobietami w zaprzyjaźnionych z nami krajach południowo-amerykańskich, które w każdej dziedzinie starają się wykorzystać wszelkie nowe możliwości, związane z postępem współczesnego życia.

W ciągu ostatnich kilku lat, nieustrudzona ta i niezwykła kobieta odbyła trzy podróże po Ameryce Południowej, zakładając w większych miastach oddziały swej znanej firmy, która od przeszło 40 lat jest prowadzycielką piękności.

Najwięcej czasu w tej podróży spędziła pani Helena Rubinstein w Argentynie, gdzie, jak stwierdza, 90% ludności uważać należy za naszych szczerych i serdecznych sprzymierzeńców. Niemcy są wszędzie znienawidzeni, podkreśla pani Rubinstein, na dowód czego podaje fakt, że mimo ogromnego braku służby domowej, wiele osób w Argentynie nie przyjmuje do swego domu kucharek — Niemek.

Pani Rubinstein w swej rozmowie ze mną dzieli się ciekawymi uwagami, dotyczącymi codziennego życia nad Rio Grande. „Młode Argentynki czynią dziś to samo, za co amerykańskie kobiety były krytykowane w dwudziestych latach... dbają o urok młodości, o zdobycie wysmukłej figury, o czar kobiecy... natomiast starsze kobiety jedzą za wiele i wskutek tego rozszerzają się nieco za... bardzo.

Poza tem, że można spotkać w Argentynie wielką ilość kobiet o siwych włosach, kobiety w krajach Ameryki Południowej mają prawie ten sam ideał urody co kobiety w Stanach Zjednoczonych, Anglii i Francji, to znaczy chcą wyglądać jak najnaturalniej i najbardziej powabnie.

Pani Rubinstein przywiozła ze sobą tęczę nowych kolorów, które odzwierciedlają biel Casablanki, złoto Czunkingu, płomienny oranż Honolulu. Mówi ona, że znaczenie kolorów odżyje nanow i odegra wielką rolę w rewjach mód bieżącego sezonu. Ale o tem obszerniej w następnym tygodniu, gdy w artykule „Moda i Kolory” postaram się z całą dokładnością powtórzyć Wam moją rozmowę na ten temat z największą kosmetyczką świata — Heleną Rubinstein.



Praktyczna ta sportowa sukienka, zapinana od góry do dołu na guziki nadaje się na każdą porę dnia i do każdej okazji. Jest przytem tak prosta w kroju, że każda Pani potrafi ją łatwo według wskazówek zestawieć tanim kosztem.

Wzór nr. 4823 wraz z wskazówkami, można nabyć wprost w „Tygodniku dla Kobiet” w rozmiarach od 16-tu do 20-tu posługując się poniższym kuponem:

Tygodnik dla Pań
806 Lexington Avenue
New York, N. Y.

Załączam 25c. proszę mi przysłać wzór Nr. 4823 wraz z dokładnymi wskazówkami.

Rozmiar
Imię
Nazwisko

WSKAZÓWKI WAŻNE, POMOCCNE I NA CZASIE

„Oszczędzaj”, „Obejdź się” „Nie Marnuj!” oto hasło, które odbija się głośnie echem na każdym kroku. To też dziś i każdego piątku współpracując z rządem amerykańskim na łamach „Tygodnika dla Kobiet” znajdują Panie ilustrowane wskazówki, sugestje i idee, które zaoszczędzą ładny grosz i jednocześnie przyspieszą zwycięstwo, o które wszyscy walczymy i do którego wszyscy dążymy.

Weźmy naprzykład taką powszechną i napozór nieważną rzecz jak kotarę do wanny... tu i tam pokazała się dziura, albo jest nieco wydarto, zniszczona albo splewiła. Nie znaczy to jednak, że musimy ją lekkomyślnie wyrzucić. Można taką kotarę inteligentnie przerobić z części, które są jeszcze dobre, można zestawieć parę firanek do łazienki, które służyć mogą przez dłuższy okres czasu.

Nasz program oszczędnościowy posuwa się naprzód szybkim krokiem.

A oto jeszcze jeden sposób przyczynienia się do wysiłku wojennego z równoczesną korzyścią dla siebie: -- **Szyj w domu wszystko, czego potrzebujesz!** To jest nakazem chwili. W „Tygodniku dla Kobiet” znajdziecie każdego tygodnia dokładne wskazówki, jak przykroić, przymocować, uszyć -- wszystko dokładnie, fachowo i łatwo przygotowane tak, że nawet początkująca krawczyni może z łatwością zrobić sobie szykowną sukienkę bardzo tanim kosztem.

WARSZAWSKIE FUTRO

Eleganckie futro to szczyt marzeń kobiety. Eleganckie i dobre futro — to przytem luksus — zwłaszcza jeśli kupione w rzetelnej odpowiedzialnej firmie, w której można nabyć stosowne futro, łączące w sobie najnowsze metody farbowania z artystycznym wykonaniem. A gdy do tego ma markę „Maximilian Furs” — wówczas niezawodnie jest szczytem elegancji, szyku, trwałości i wygody. Jeśli chcesz, droga przyjaciółko, nabyć w tym roku futro piękne, wytworne i praktyczne — radzimy zamówić je w sławnej warszawskiej firmie Apfelbaum — znanej w Nowym Yorku pod nazwą „Maximilian Furs”, którą z całym zaufaniem polecamy

HALINA KONOPACKA

SONJA HENIE

Sonja Henie, tu w New Yorku. Ach jak się cieszę! Tak bardzo chciałabym ją znowu zobaczyć. Ile kosztuje bilet? Dobre miejsce? Zgoda. Środa wieczór w Madison Square Garden. Zaraz, ile to lat od tego spotkania z Sonją? Nie, lat nie mogę zdradzać — Sonja nie byłaby zadowolona z tej koleżeńskej przysługi i ja także; ale dawno, tam u niej, w jej kraju, w Norwegji...

Zawsze lodowaciały mi nogi na wspomnienie o Sonji Henie. Godzinami przecież marziałam na otwartych trybunach Norwegji, patrząc na świetnie się zapowiadającą, małą, trochę ciężką sylwetkę Sonji, na jej pyzată z zadartym noskiem, rozesmianą buzią i osnieżoną jasną główką.

Sonja była wówczas jeszcze u siebie, wśród swoich. Wbiegała na boisko lodowe wprost w rozkochany w niej tłum, dziecinna jeszcze, radosna, zręczna jak młody kociak, pilna i staranna. Kręciła swoje piruety jak bąk spuszczonej ze sznurka, rozplatała się w podskokach, składała jak scyzoryk w przysiadach i płynęła, przyczajona naprzód, połyskująca łyżwami i białymi zębami. Kochały ją te tłumy, znosiły z boiska na rękach, była ich radością, ich dumą i nadzieją. Rozgrzewała ziębniętych widzów zapałem, młodością i garściami rozrzucanych pocałunków. Kiedy ze swoim niskim ukłonem na jednej nodze odpływała z boiska wśród burzy okłasków, tupań i okrzyków — północna, norweska zima przypominała o futrze, pledzie i butach futrzanych, o których zarząd boiska myślał w porę, aby rozgrzane serca nie były w zbyt dużej sprzeczności ze zmarzniętymi nogami.

Wiedziałam już wtedy, że usłyszę o niej kiedyś na wielkim teatrze świata. Wiedziałam, że droga do jej kariery jest gładka, jak tafla lodu, na której tańczy.

Kiedy na bału w podmiejskim pałacyku następcy tronu norweskiego poznałam ją — chciałam jej wyrazić swój zachwyt, wiele pochwał, a jeszcze więcej zapytań: jak to tak pięknie i tak swobodnie tańczy na tym śliskim lodzie — jabym leżała przy pierwszym kroku. Zawstydzona, chciałam chociaż usprawiedliwić się, że i ja coś potrafię — rzucać dyskiem, ale to znacznie łatwiej niż jeździć na lodzie. Sonja uśmiechała się uroczo i serdecznie, ale poza uśmiechami nie mogłam się niczego

więcej dowiedzieć. Ja nie mówiłam po norwesku.

W swojej skromnej niebieskiej sukieneczce nie przypominała niczem zwycięskiej taneczniczki z lodowiska. Nieśmiało słuchała komplementów i z prostotą przyjęła ojcowski pocałunek starego króla norweskiego, złożony na jej czole.

— Tańczyłem walca z tą panieneczką w niebieskiej sukience — przerwał mi moje obserwacje głos męski. — Tak ciężko tańczy, że się spościłem.

— Ależ to Sonja, we własnej osobie, z nią tańczyłeś!

— Ale tańczy ciężko!

Kiedy w kilka lat potem znowu godzinami marziałam na otwartych trybunach Olimpiady Zimowej w Garmisch-Partenkirchen, aby być świadkiem jej walki o pierwszeństwo — wiedziałam, że Sonja da sobie radę ze swoimi konkurentkami i w tych, trudniejszych dla siebie warunkach, gdzie tłum widzów ciekawy, ale bezstronny, a oczy sędziów patrzą ostro i oceniają według swojej chłodnej rachuby.

Sonja podbija międzynarodowy tłum. Tabliczki sędziowskie raz po raz wyskakują z najwyższą oceną jej zdolności i z boiska imię Sonji przenosi się na ulicę, do stolików restauracyjnych i do gazet. Na jej występach trybuny wypełnione po brzegi, oficjały w szerokich szubach, per-

sony zakute w futra wodzą oczami z wyraźnym zdenerwowaniem. Sonja bije najlepsze zawodniczki, a w tem, w jeździe parami — najlepszą parę niemiecką — chlubę gospodarzy.

Z wdziękiem i bezbłędnie wykonuje każdy ze swoich popisów, pokazując coraz wyżej pulchne uda w obcisłym trykocie i coraz niżej pochylając się w ukłonie.

*

Wielka hala Madison Square Garden wypełniona po brzegi. Sklepienie zdaje się opierać na głowach widzów. Muzyka rozkołysuje tłum a potem spada i razem z reflektorami tańczy na tafli lodowej. Patrzę na magiczne lustro lodu ujęte w żywą, ruchomą, luźną oprawę i z nim zobaczę Sonję we własnej postaci — widzę te dawne wspomnienia o niej.

Na scenę wypływają potoki barw. Mienią się, przepiatają, łączą w pstry bukiet i rozsypują jak kolorowe paciorki po lustrze. Przy dotknięciu tajemniczych reflektorów gina barwy. Tańczą teraz czarne sylwetki w liljowym powietrzu, na liljowym lodzie. Znowu kotory, znowu żywy bukiet uktada się w tło, na którym ma odtańczyć swój taniec Sonja Henie.

Z głośnym akordem muzyki wpływa na lod i gdy przez długą chwilę przyjmuje owacje, swoim dawnym zwyczajem rozdając obiema rękami pocałunki — przyglądam jej się ciekawie i staram się odszukać w niej tę małą dziewczynkę z norweskich boisk. Ale jakże wypiękniata! Jak dorosła i — jak schuda! Ani śladu puciołowatej buzi, regularna twarz, podniesiona make-upem do wzorowej urody. Kibić odmierzona przepisowym hollywoodzkim centymetrem, uda pożyczone od Loretty Young, łydki od Marleny, sylwetka jakby zesza z wystawy Tailored Woman z 5th Avenue. Pewna siebie, zwycięska, wyzywająca, wspaniała. Widać na niej wysiłek reżyserów, fryzjerów, masażystów i amerykańskiej szkoły. Już napewno niktby o niej nie powiedział, że tańczy ciężko walca w salonie.

A tańczy... Reklama na afiszach mówi prawdę — wszystko jest supersuper, nie może być lepiej. Tańczy ultra... "ultra fioletowo".

Dla pyzatej Sonji Henie warto było jechać do Norwegji, aby ją zobaczyć. Dla idealnej Sonji Henie made in U. S. A. warto było wydać na bilet.

W POPRZEDNIM 8(60) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO

Porwanie Sołtyka i zamknięcie "Wiadomości Polskich"; Anonimowy poeta Polski Podziemnej; Psalm; Tadeusz Strzetelski: Rozmowa z dowódcą polskich spadochroniarzy; Teofil Lenartowicz: Bitwa Racławicka; Wojciech Świętosławski: Rozbudowa przemysłu w Polsce; Zygmunt S. Klingsland: Menkes; Melchjor Wańkowicz: Dzieje rodziny Korzeniewskich; Tygodnik dla kobiet; Opinje i zdania.

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

D W A F I L M Y

Niektórzy dostojnicy Kościoła Anglikańskiego jak Lord Lang, były arcybiskup Canterbury lub biskup Chichester oraz pewni, zresztą bardzo nieliczni zwolennicy totalnej ideologii humanitarnej wystąpili w Anglii i Ameryce z krytyką strategii powietrznej aliantów, stosowanej w nalotach na Niemcy.

Propaganda berlińska podchwyciła tę opinię z łatwo zrozumiałą skwapliwością, aby próbować zrzucić całą odpowiedzialność za totalne metody prowadzenia wojny na Anglików i Amerykanów, a zwłaszcza na tych pierwszych, jako na rzekomych inicjatorów bombardowania otwartych miast, niszczenia zabytków kulturalno-artystycznych i mordowania cywilnej ludności. Ta polemika obudziła we mnie refleksje i wspomnienia, któremi będzie myśle, na czasie podzielić się z czytelnikami "Tygodnika Polskiego".

Każda nowalja księgarska, teatralna czy kinowa w Paryżu — w tym prawdziwym przedwojennym, czasem swoimi zgrzytliwymi kontrastami drażniącym ale zawsze pełnym nawskroś oryginalnego czaru Paryżu — była raczej ewenementem towarzyskim aniżeli wydarzeniem artystyczno-literackim. Musiało tak być już chociażby dlatego, że o losach nowej sztuki lub nowego filmu decydowały przedewszystkiem rozmaite wyrocznie snobistycznych salonów paryskich, których opinia górowała swoim wpływem nad recenzjami najlepszych nawet krytyków. To też koniecznym warunkiem świetności premjery, warunkiem, starannie uwzględnianym przez każdego wytrawnego dyrektora — była ściąganie na przedstawienie całego „Tout-Paris” przez rozesłanie zaproszeń wszystkim osobistościom i osobom, stale wymienianym w dziennikarskich kronikach „życia towarzyskiego” eleganckiego świata i półświatka. Oczywiście, zapraszano dla okraszenia również i prawdziwą inteligencję, zwłaszcza mogącą wykaazać się jakimś „stosunkami”.

Premjera filmu „Na Zachodzie bez zmian” była właśnie takim par excellence ewenementem towarzyskim, którym z góry już i bardzo żywo interesowały się salony paryskie. Powodów ku temu było sporo: książka Remarque'a, reżyserja Pabst'a, pacyzizm Niemców... Warto nawet zamówić nową suknię, zwłaszcza że po przedstawieniu odbędzie się w foyer kina przyjęcie dla Pabst'a.

Istotnie, była to jedyna w swoim rodzaju premjera. Kontrast pomiędzy cieżką salą kina — rozbrzmiewają-

cą hukiem pękających granatów, warkotem karabinów maszynowych, bolesnymi krzykami rannych, głuchym jękiem umierających — a w chwilę później, rześcicie oświetlonym hall'em — wyfrakowanym, wydekoltowanym, wybrylantowanym tłumem, dyskretnie musującym flirtem, dowcipem, szampanem; kontrast pomiędzy temi dwiema rzeczywistościami był paradoksalnie jaskrawy.

Po kątach hall'u prowadzono jednak rozmowy i na temat filmu Pabst'a. „Nie pojmuję zupełnie, jaki cel ma pokazywanie tych wszystkich okropności wojennych, i to jeszcze z tak bezlitosnym realizmem przedstawianych? Uważam, że jest coś masochistycznego w tem wskrzeszaniu najstraszliwszej tragedji dziejowej, będącej epizodem już dziś bezpowrotnej przeszłości. Nigdy nie pozwolę moim dzieciom oglądać takich filmów — nie chcę, by zatruwały sobie duszę wizjami wojny, której nie znali i znać nie będą”. Doskonały krytyk francusk René Lalou słuchał tych wywodów z ironicznym uśmiechem: „Jeżeli pani chce, by dzieci jej istotnie wszystkiego tego, cośmy przed chwilą oglądali, nigdy nie zażnały, to czy nie sądzi pani, że właśnie jaknajszersze popularyzowanie wśród młodzieży książek Remarque'a i filmów Pabst'a stanowić musi doskonałą propagandę anty-wojenną?... Sam jestem ojcem i profesorem gimnazjalnym, podwójnie mam więc powody prowadzenia wojny przeciwko wojnie — otóż zapewniam panią, że moim synom i moim uczniom jaknajusilniej doradzać będę obejrzenie „Na Zachodzie bez zmian”.

Zbyt dobrze znałem Lalou, by nie wiedzieć, że w jego poglądach jest tyleż doktrynerskiego zaślepienia co bezsprzecznej bona fide. Dlatego też wtrąciłem się do dyskusji: „Zasadniczo rozumuje pan słusznie — ale czy wiadomo panu, że w Niemczech zabroniono wyświetlania filmu Pabst'a? Niech pan pomyśli co się stać musi, jeżeli młodzież francuska poczuje nienawiść do wojny dzięki tym samym filmom i książkom, które jednocześnie przytaczane będą młodzieży niemieckiej jako klasyczny przykład zdrady?!”...

Biedny Lalou!

Może przypominała mu się jak i mnie — po iluż latach! — ta nasza rozmowa na premjerze Pabst'a, jeżeli miał sposobność oglądać inny film wojenny, również niemieckiego pochodzenia, „Chrzest ognia”. Łączy się dla mnie z tym filmem wspomnienie bardzo przykrego przeżycia o-

sobistego, tem przykrzejszego, że nastąpiło natychmiast po opuszczeniu Francji i po przybyciu do Madrytu. Naprzeciw mojego hotelu wyświetlano „Chrzest ognia” w jednym z największych kin miasta. Przed wejściem — oblepionem propagandowymi napisami, afiszami, swastykami — stały, nawet w dzień, długie ogonki Hiszpanów, mających nadzieję, że ten film da im tak silne emocje, jak dobra walka byków...

„Chrzest Ognia”, z tendencyjną kłamliwością odtwarzający poszczególne epizody kampanji wrześniowej 1939-go roku, miał być w swoim założeniu, dokumentalnym dowodem, jak straszliwie potężna jest niszczyielska akcja niezwykłej „Luftwaffe”, faktycznie zaś jest najmówniejszym stwierdzeniem prawdziwości oskarżeń, zarzucających Niemcom zbrodnicze metody prowadzenia wojny. Boć przecież w Polsce zaczęli Niemcy dawać istotną miarę okrutnego barbarzyństwa swojego, chępiąc się bombardowaniem otwartych miast — toż w Polsce postawili oni słup z brutalnie cynicznym napisem: „Tu niegdyś były Siedlce”...

Ten właśnie „Chrzest ognia” był w pierwszych latach wojny jednym z najczęściej wygrywanych, bo najskuteczniej działających atutów propagandy berlińskiej. Szeroko posługiwano się nim na froncie wewnętrznym dla jeszcze mocniejszego nasilenia fanatyzmu nacjonalistycznego, dla duchowego przysposobienia młodzieży do chwalebnej kariery wojennej, dla zachęcenia żołnierzy do dalszych gwałtów i okrucieństw i last but not least, dla pogłębienia wiary w nieomydlnie genialnego fuhrer'a.

Bez porównania ważniejszą wskazówkę misję spełniał „Chrzest ognia” w dyplomatycznej ofensywie niemieckiej, przeprowadzanej podówczas na bardzo szeroką skalę. Rząd, parlament, prasa, etc. — słowem, t. zw. „czynnik opiniodawczy” kraju, którego cały byt Niemcy chciały podporządkować swojej woli — były zapraszane do ambasady lub poselstwa na pokaz tego filmu.

Presja, wywierana groźbą zgotowania danemu krajowi losu Polski, jeżeli ośmieli się on odrzucić „propozycje” berlińskie; presja, której najsilniejszym argumentem był „Chrzest ognia”, przedstawiający straszliwe spustoszenia dokonane w Polsce, presja przy pomocy tak brutalnego szantażu, jakim był pokaz tego filmu, stanowiła, poczynając już od wiosny 1940 r., „normalny” wstęp do późniejszych pertraktacji dyplomatycz-

nych. Trzeba stwierdzić, że miarodajne sfery poszczególnych krajów niezawsze wykazywały należyłą odporność na „Chrzest ognia”, jeszcze rzadziej zaś starczyło im odwagi, by wcale nie przyjęc zaproszenia i nawet zabronić publicznego wyświetlania filmu.

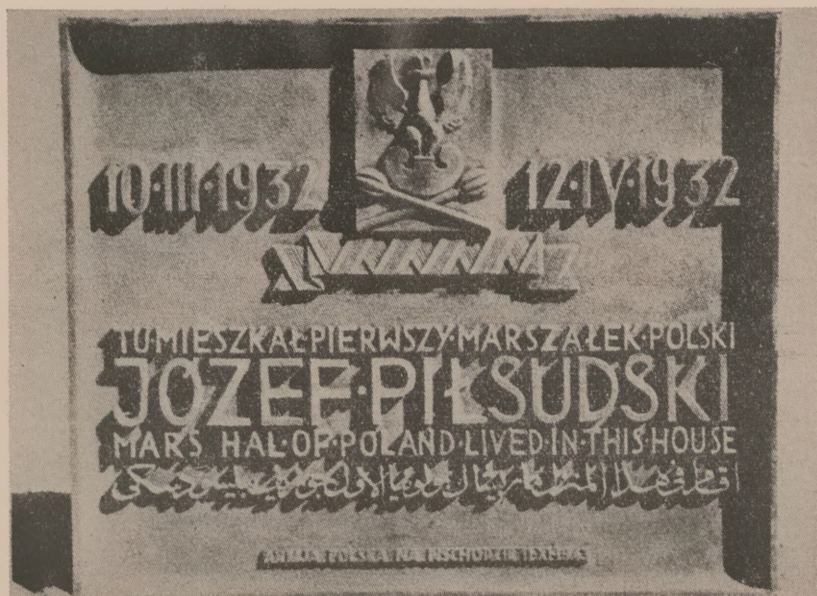
Przypomniał mi się „Chrzest ognia” i specjalne misje, powierzane mu przez Goebbels'a — który podniósł jego znaczenie, przesyłając później placówkom dyplomatycznym inny jeszcze film o pokrewnych tendencjach, ponurą tragedję kampanji na zachodnim froncie—przypomniało mi się to wszystko w związku z emisjami radja berlińskiego, codziennie teraz piętnującego „barbarzyńskie metody” prowadzenia wojny przez Aljantów i zarzucającego anglo-amerykańskiemu lotnictwu bombardowanie ośrodków miejskich, pozbawionych jakiegokolwiek wartości militarno-strategicznej.

Przypomniał mi się „Chrzest ognia” jeszcze i dlatego, że dzisiejsze wyrzekania propagandy niemieckiej, systematycznie popierane są uroczystościami zapewnieniami samego Goebbels'a, że to Anglicy pierwsi rozpoczęli stosować niehumanitarne sposoby walki, niszcząc swojemi nalotami otwarte miasta i mordując ludność cywilną Rzeszy już w początkach 1940 r., podczas gdy fuhrer w pierwszych zaraz dniach wojny wydał formalny rozkaz lotnikom „Luftwaffe” bombardowania tylko bezsprzecznie militarnych obiektów. Tendencyjne te kłamstwa wszystkie i spóźnione odwoływania się do szlachetniejszych uczuć ludzkich nie pozostają bez echa w pewnych odłamach nawet tutejszego społeczeństwa. Mit o „dobrych Niemcach”, pierwszych ofiarach tyranji nazistowskiej, kolportowany jest tak usilnie, że przesłania czasem istotę faktycznego stanu rzeczy: „dobrzy Niemcy” nigdy nie protestowali przeciwko najstraszliwzszemu zbrodniom „Luftwaffe” w obecnej wojnie.

Dlatego więc wskazaniem byłoby może wyświetlanie **teraz właśnie** w kinach Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji dwóch filmów niemieckich. Najodpowiedniejszym zaś komentarzem „Chrztu ognia” i „Kampanji na Zachodzie” byłyby oryginalne przemówienia pp. Hitlera, Goebbelsa et consortes. Toż Hitler osobiście zapowiadał, że „Luftwaffe” wymaże (sic!) miasta angielskie z mapy Europy; toż Goebbels, po nalocie na Coventry, wymyślił nowy czasownik, grożąc „scoventry'zowaniem” innych miast brytyjskich...

Z książek Remarque'a i filmów Pabst'a nie pozostało śladu. „Chrzest ognia” natomiast pozostał krwawe ślady na całym kontynencie europejskim. Czas to przypomnieć światu...

TABLICA W HELUANIE



W Heluanie małym miasteczku położonym w Deltcie Nilu, w odległości 30 kilometrów, od Kairu, odbyła się uroczystość, zorganizowana przez Armję Polską na Wschodzie. Na murze jednej z willi umieszczono tablicę na pamiątkę pobytu w Heluanie Józefa Piłsudskiego, który przebywał tam na kuracji od marca do kwietnia 1932 r.

Gen. Anders, przybyły specjalnie na uroczystość, wygłosił mowę, w której powiedział m. in.:

„...Obdarty i besy poszedł nasz żołnierz do boju na wszystkich krańcach Rzeczypospolitej, w Wielkopolsce, na Śląsku i pod Lwowem. Były to początki kariery naszego wojska, żołnierze, starzy i młodzi, uczyli się strzelać. Pod Warszawą, w roku 1920 rozstrzygały się wtedy losy nie tylko Polski ale i całej Europy.

Tę walkę wygraliśmy, bo na czele nas stał człowiek, który postawił sobie jako pierwsze zadanie obronę honoru i niepodległości Polski. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, po 25 latach widzimy, jak mądra i przewidująca była jego działalność.

Zbiegiem okoliczności, możemy dziś odsłonić tablicę pamiątkową, w miejscu gdzie przebywał, gdzie dawniej już szeregi Polaków szły do marszu ku Polsce. Szlaki tych dróg były różne. Szły przez Hiszpanję, Włochy, Bałkany. Tymi samymi szlakami może pomaszujemy i dziś

do Polski my, którzyśmy zebrali się tutaj, idąc przez morza i góry, przez tajgi Sybiru, z Norwegji, Libji. — Wszystkie te szlaki spotkają się na jednej wielkiej drodze — ku Polsce.”

Następnie gen. Anders dokonał odsłonięcia tablicy na której napis w językach polskim i egipskim brzmi: „10.III.1932 - 12.IV.1932 mieszkał w tym domu Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski. Armja Polska na Wschodzie. II.XI.1943”.

HISTORJA SIĘ POWTARZA

Dziś, gdy komunikaty radjowe i prasa donoszą, że na froncie włoskim weszły do akcji dywizje polskie — przypomnieć należy, iż w roku 1797, więc prawie 150 lat temu, właśnie na ziemi włoskiej rozpoczęły walkę „o wolność naszą i waszą” Legjony Polskie, utworzone przez gen. Henryka Dąbrowskiego. Legjony te, początkowo nieliczne, osiągnęły cyfrę 15,000 żołnierzy w roku 1799, kedy wstąpiły się zdobyciem Rzymu i Neapolu.

Legjoniści Dąbrowskiego nosili wyszyte na naramiennikach hasło: — „Uomini liberi sono fratelli!” („Ludzie wolni są braćmi”). Polskie dywizje, walczące dziś na ziemi włoskiej, wierzą, że wszyscy ludzie wolni, walczący wraz z nimi przeciw tyranji hitlerowskiej — po bratersku pomogą im w odzyskanu niepodległości Ojczyzny i uszanują ich prawo do samostanowienia zgodnie z zasadami Karty Atlantycznej.

O P I N I E I Z D A R Z E N I A

KSIĄDZ JÓZEF JARZĘBOWSKI

Piękny wiersz "Ewangelja" który zamieszczamy w niniejszym numerze, jest wyjęty z niezwyklego tomu wierszy Ks. Józefa Jarzębowskiego pt. "Pieśni Bezimiennego Krzyżowca", wydane w Detroit.

O ALJANCKĄ WZAJEMNOŚĆ

Wobec niesprawiedliwego i nieuzasadnionego zamknięcia "Wiadomości Polskich" Rząd Polski, niezależnie od najenergiczniejszych zabiegów o uchylenie tego zarządzenia, powinien wprowadzić zwyczaj interwenjowania u władz brytyjskich ilekroć w pismach angielskich lub w prasie obcej, wychodzącej w Anglii będą się ukazywały artykuły antypolskie. Proponujemy, aby prof. Kot przyjął jeszcze jednego urzędnika do swego ministerstwa, któryby specjalnie wyszukiwał takie artykuły i przygotowywał interwencje. Skoro angielskiemu Ministerstwu Informacji tak zależy na zachowaniu jedności aljanckiej, należy mu pomóc w jego zadaniach. Niech prof. Kot tak pomaga panu Brackemowi, aby ten cały dzień był zajęty i aby wreszcie te ataki były raz na zawsze zaniechane. Proponujemy to najzupełniej serjo i uważamy, iż te interwencje są prawem i obowiązkiem naszego rządu.

DZIELNI POLSCY MARYNARZE

Imponujący dorobek Polskiej Marynarki Wojennej, charakteryzują m. i. następujące cyfry:

Za okres od października 1939 do lipca 1943 a więc nie włączając walk na Bałtyku — polskie okręty wojenne wykonały: 450 patroli, 600 osłon w konwojach; stoczyły 200 walk z lotnictwem nieprzyjaciela, 130 z okrętami podwodnymi, 25 z okrętami nawodnymi, 24 z artylerią nadbrzeżną, przebywając łącznie 700,000 mil morskich.

Wyrazem uznania dla bohaterskich marynarzy polskich są liczne i wysokie odznaczenia. Jedenastu z nich otrzymało Distinguished Service Order, jedenastu Distinguished Service Cross, szesnastu Distinguished Service Medal, pięciu specjalne wyróżnienia bojowe. Francuzi nadali polskim marynarzom dwa odznaczenia Legii Honorowej i trzy medale. Naczelny Wódz odznaczył 27-miu marynarzy Krzyżem Virtuti Militari i 850-ciu Krzyżem Walecznych. Tak więc co trzeci marynarz polski nosi na swej piersi widomy znak uznania za czyny bojowe, za dzielność i bohaterstwo.



Bohater z Chicago, porucznik Bronisław Godlewski, przemawiający na zebraniu w Chicago w Stowarzyszeniu Weteranów

CZY WIECIE ŻE...

...Polskie Lotnictwo Myśliwskie do dnia 1.9.1943 roku od chwili rozpoczęcia działań bojowych z terenu Wielkiej Brytanii może się poszczycić następującymi wynikami swej bojowej działalności: 570 samolotów nieprzyjacielskich zestrzelonych na pewno, 152 prawdopodobnie, 192 uszkodzone. W tysiącym okresie Polskie Lotnictwo Bombowe zrzuciło na objekty nieprzyjacielskie — 13,452,050 funtów bomb i min.

...pilot polskiego bombowca w drodze powrotnej z bombardowania Essen dowiedziawszy się, że w samolocie pozostała jeszcze jedna bomba, przez pomyłkę nie wyrzucona przez niedoświadczonego bombardjera — natychmiast zawrócił na sam, by jeszcze i tę bombę zrzucić nad Essen. Gdy ktoś z załogi zapytał pilota, czy warto wracać na cel dla jednej tylko bomby — odpowiedział on: „Nie cho-

dzi o bombę — tylko o zasadę". Od tego czasu owego pilota przewzano „porucznikiem Zasadą”.

...polska tajna radiostacja „Świt” obchodziła w dniu 10-tym września rocznicę pierwszej audycji przez nią nadanej. Tak więc przeszło od roku Polacy pod okupacją niemiecką, pomimo niezliczonych trudności, teroru i kontroli Gestapo — informują za pomocą tajnej radiostacji społeczeństwo polskie co należy czynić, by przetrwać krótki jeszcze okres okupacji Kraju a zarazem informują świat drogą radiową, co się dzieje w Polsce.

British Broadcasting Corporation nadało z okazji rocznicy działalności rozgłośni „Świt” specjalną audycję.

...Towarzystwo Polsko-Szkockie, zorganizowane po przybyciu wojsk polskich do Wielkiej Brytanii, liczy obecnie poza centralą w Edynburgu 17 oddziałów i 31 pododdziałów.

TEATR ŻOŁNIERSKI ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

Teatr żołnierski wiąże się nierozłącznie z powstaniem i historią Armii Polskiej w Rosji. Początkowo był prosty, połowy, pełen jeszcze braków i niedociągnięć, lecz rósł, rozwijał się, by wreszcie dojść dzisiaj do prawdziwie wysokiego poziomu, którego nie powstydziliby się najlepszy teatr w normalnych, pokojowych warunkach.

Zaczynało się to wszystko właściwie z niczego. Zaczynał go sam żołnierz w świetlicy, na ogniskach i akademjach. Potem przyszedli aktorzy, muzycy, dekoratorzy. Oczywiście nie mogło być mowy o sztukach pełnospektaklowych, były więc rewje, inscenizacje, obrazki sceniczne, koncerty. Rosły zespoły orkiestralne, kupowało się instrumenty, szyto pomysłówwe kostjumy z białej, starych mundurów, koców, dosłownie ze wszystkiego, co było można wykorzystać na ten cel.

Teatr stał się bardzo popularny wśród żołnierzy, popularny i lubiany. Stanowił w Rosji jedyną kulturalną rozrywkę. Słowo, piosenka, muzyka, taniec przemawiały do żołnierza jak nigdy. Dawały mu moc do przetrwania tych ciężkich chwil i warunków życia, przypominały Ojczyznę, uczyły, wychowywały, budziły nienawiść do wroga i pragnienie odwetu. A przytem czarowały go pięknem słowa, melodji i ruchu. To też do teatru chodzili wszyscy. Widownie były zawsze przepełnione, a hurze oklasków i nieustanne „bis” były najlepszym dowodem, jak bardzo trafiał do swoich widzów żołnierski teatr.

Grało się przeważnie pod gołym niebem, na połowych scenkach, na zaimprovizowanych estradach, w obozach, na postojach, w pustyni, — wszędzie. Żołnierz polubił swych aktorów i płacił im szczerem, prostym sercem za ich wysiłki i starania uprzyjemnienia mu czasu i dania prawdziwej, dobrej rozrywki.

Dzisiaj aktorzy, repertuar i styl przedstawień, stoją na dobrym, wysokim poziomie. Teatr daje przedstawienia nie tylko w licznych obozach Armii Polskiej, lecz wyjeżdża często na występy do obozów Armii Sprzymierzonych, gra w teatrze bagdadzkim dla ludności Iraku, na przedstawieniach tych obecni są Król, Regent Iraku i elita Bagdadu. Wszędzie Teatr Armii Polskiej cieszy się olbrzymim powodzeniem i uznaniem.

Nazwiska jak — Andrzejewska, Wojtecki, Lawiński, Krukowski, Aston, duet Neyów, Refren, Oleńska, mówią za siebie. A oprócz nich zespół Warsza, pianista Grzybowski, śpiewaczka Ignatowicz, para tancerka Niewiadomska - Olszyński, tancerka Różycka — stanowią wspaniały zespół, zdolny i zdyscyplinowany.

KONFERENCJA PRZEDSTAWICIELI POLSKICH ORGANIZACJI BR. POMOCY, DUCHOWIEŃSTWA I PRASY POL. 4 MARCA W CHICAGO

Konferencja omówi i zadecyduje najlepsze na chwilę obecną środki i sposoby wspólnego działania w sprawach polskich oraz opracuje plany rychłego Zjazdu Polonii Amerykańskiej.

Rodacy i Rodaczki!

W myśl poleceń danych nam przez plenarne posiedzenie Rady Polonii Amerykańskiej, jakie się odbyło w dniach 29 i 30-go stycznia, 1944, w Chicago — niniejszym zwołujemy Konferencję przedstawicieli wszystkich polskich Organizacji Bratniej Pomocy o zasięgu krajowym, oraz reprezentantów Duchowieństwa polskiego i Prasy polskiej. Konferencja, która ma charakter przygotowawczy, rozpocznie swoje obrady o godzinie 10-tej rano, w sobotę, 4-go marca, w Domu Związku Polek, 1309 N. Ashland Ave., Chicago.

Cel Konferencji: Omówienie środków i sposobów wspólnego działania w chwili obecnej i występowania obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia w sprawach Polski i w sprawach Polonii Amerykańskiej oraz opracowanie planów zwołania ogólnego Zjazdu Polonii Amerykańskiej.

Celem uniknięcia ewentualnego nieporozumienia zaznaczamy, że oficjalny udział w Konferencji mogą brać tylko osoby reprezentujące organizacje i zrzeszenia, które otrzymały listowne zaproszenia, w liczbie reprezentantów wymienionej w zaproszeniach.

Krytyczne czasy w jakich żyjemy, wypadki dziejowe, których jesteśmy świadkami, a przede wszystkim zadania jakie mamy do spełnienia dla obrony Sprawy Polskiej pozwalają nam wierzyć, że nasze Organizacje, nasze Duchowieństwo i nasza Prasa przychylnie się do tej Konferencji ustosunkują i przysła na nią swoich reprezentantów, o co serdecznie prosimy.

Komitet Konferencji:

Karol Rozmarek,
Prezes Związku Nar. Pol.
Jan J. Olejniczak,
Prezes Zjedn. Pol. R. K.
H. B. Wołowska,
Prezeska Związku Polek.

PROTOTYP BOLSZEVIKÓW

Cesarz Mikołaj I chciał ukarać jednego ze swych ministrów. Na piśmie do kanclerza, polecającemu mu tę sprawę, napisał: "Ili w Sibir" ili posłom w London" (Albo na Sybir albo na ambasadora do Londynu).

ZOFJA OSSENDOWSKA

Zmarła w Warszawie Zofja Ossendowska, niegdyś znana jako Zofja Płoszko-Iwanowska, skrzypaczka, bardzo czynna w artystycznym życiu Warszawy. Wyszędziła po poprzedniej wojnie zamąż za znanego pisarza i podróżnika Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego, oddała się życiu rodzinnemu, stwarzając w swym domu ośrodek towarzyski, pełen gościnności i bardzo warszawskiej serdeczności. W roku 1920 dotknął ją ciężki cios, gdyż ukochany jej syn, uczeń gimnazjalny Loluś Płoszko zabity został w bitwie pod Warszawą obok księdza Skorupki. O losie męża artystki, Ferdynanda Ossendowskiego nie mamy pewnych wieści.

EWA CURIE — PORUCZNIKIEM

Ewa Curie ukończyła przeszkolenie wojskowe w Anglii z pierwszą lokatą i uzyskała stopień porucznika. Obecnie odbywa służbę w Algierze w sztabie generała de Lattre de Tassigny, sławnego ze swych bohater- skich walk.

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się należy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie:

HELENA RUBINSTEIN

715 — 5ta AVENUE

New York City

Tel. Eldorado 5-2100

KUPUJCIE ZNACZKI

BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC.

IGNACY, PAWEŁ I MIE-
CZYŚLAW NURKIEWICZ,
właściciele

125 Ashland Place
Brooklyn, N. Y.

Tel. TR 5-9811

ZEMSTA MUSSOLINIEGO

Mussolini, upadły na samo dno poniżenia i osmieszenia, nadaje temu swemu upadkowi krwawe piętno, przez powołanie trybunałów nadzwyczajnych, które na terenie Włoch zajętych przez Niemców sądzą t. zw. zdrajców faszyzmu. Około sześciu tysięcy osób oskarżonych jest w tym procesie; wśród nich figurują nazwiska najwzierniejszych dotychczas stronników Mussoliniego. Tak więc oskarżeni są: sekretarz partii faszystowskiej Carlo Scorza, byli ministrowie: admirał Tacn de Revel, Teruzzi, Porverani, Pava Grossa, Romano, marszałek Caviglia, sławny inwalida wojenny Carlo Delcroix, Vittorio Gayda (jak się okazuje — nie odebrał sobie życia), właściciel głośnej firmy Fiat w Turynie senator Agnelli, hrabia Volpi, generał Roberti Mario, były dowódca drugiej armji, która biła się na Sycylii, generał Verzellino, dowódca okupacyjnej armji włoskiej we Francji, generał Italo Garibaldi, generałowie Rossi i Vecchiarelli, dowódcy wojsk włoskich w Grecji, admirał Mascherpa, który oddał wyspę Neros i admirał Campioni, który oddał Rodos Anglikom. Hrabia Prietti i dawny szef Agencji Stefani, Roberto Shuster oskarżeni są o to, że dopomogli córce Mussoliniego Eddzie Ciano uciec do Szwajcarii. Widać, że Mussolini, który był kaboty-nem jak Neron — chce choćby w ostatniej chwili dorównać mu, plając się we krwi.

O KSIĄŻKI DLA DZIECI

Jedna z najpiękniejszych książek dla dzieci, jaka kiedykolwiek i gdziekolwiek ukazała się, "Bajka o krasnoludkach i sierotce Marysi" Marji Konopnickiej, wyszła z druku w Edynburgu. To nam przypomina, że dzieci polskie rozproszone po świecie nie mają co czytać, że w okresie, gdy kształtuje się ich myśl i uczucie, pozbawione są dostępu do najpiękniejszych ich źródeł — dobrej ojczystej książki. Szeroka akcja, która by zaradziła, musi być niezwłocznie podjęta przez wydawców naszych (liczymy tu na niestrudzonych pp. Kisterów) przy pomocy oczywiście czynników urzędowych i społecznych. Chodzi tu o rzeczy dla naszej przyszłości podstawowe i proste o zachowanie narodowości dzieci polskich. "Tygodnik Polski" będzie też tę sprawę póty przypominał, aż to w dawnictwo dojdzie do skutku.

I odrazu przychodzi nam na myśl książka niezwykła, teraz szczególnie aktualna, która powinna już zaraz wyjść zarówno po polsku jak też na nowo w istniejącym przekładzie an-

gielskim, koniecznie ilustrowana (Czermański) "W pustyni i w puszczy" Siemkiewicza; jest to pierwsze zetknięcie się w literaturze Anglików z Polakami, klucz do wzajemnego poznania się obu narodów, akcja prztem odbywa się na terenie dziś tak ważnym. Trudno o lepszą, piękniejszą, bardziej zrozumiałą dla Anglików propagandę Polski i Polaków i o lepszą, bardziej wzruszającą, zrozumiałą książkę dla polskich dzieci. Więc czekamy, i będziemy przypominąć.

KONCERT HELENY MORSZTYN

W ubiegłą niedzielę miała swój recital w Town Hall nasza rodaczka, doskonała pianistka Helena Morsztyn. Koncert miedziany pozwolił nam raz jeszcze stwierdzić te niepowspędnie zalety wirtuozowskie i indywidualność artystyczną Morsztynówny, które dały jej tylekroć triumfować na tyłu estradach europejskich i uczyniły ją np. we Włoszech jedną z najpopularniejszych, najbardziej oklaskiwanych pianistek. Publiczność, która bardzo licznie przysłała na koncert, odnajdywała z przyjemnością te zalety w brawurowej interpretacji "Karnawału" Schumana i Sonaty B-moll Chopina. W części współczesnej — Morsztynówna wykonała szereg utworów Malipiero i Castelnuovo-Tedesco.

JERZY CZAPLICKI NA NOWO JORSKIEJ SCENIE

W poniedziałek, dn. 21 lutego b. r. New York City Center of Music and Drama otworzył sezon operowy "Tosca" Pucciniego z świetnym polskim barytonem Jerzym Czaplickim w roli Scarpia. Rolę tytułową śpiewała słynna niegdyś Dusolina Giannini, Cavaradossiego doskonali tenor włoski Mario Berini.

Czaplicki, którego kreację Scarpia zna polska publiczność z oper warszawskiej, poznańskiej i lwowskiej, raz jeszcze udowodnił, że można być wielkim śpiewakiem i zdobyć najwyższe uznanie publiczności, nie uciekając się do nowoczesnej reklamy. Wystarczy poprostu — zagrać i zaśpiewać, tak jak się śpiewało kilka lat jeszcze temu przed ciepłą, rozentuzjowaną widownią na Placu Teatralnym Scarpia, Figara, Escamille, jak na estradzie Filharmonii podawało się pieśni Moniuszki, Galla, Niewiadomskiego, Różyckiego, gdy wolno było śpiewać po polsku i także gdy było komu po polsku śpiewać.

Tym razem artysta wystąpił przed publicznością obcą i chłodną, dla której nazwisko Czaplickiego nie było jeszcze magnesem — ale gdy po finale kościelnym rozległy się grzmoty

oklasków, gdy po drugim akcie, który w zasadzie jest jednym wielkim duetem Tosci i Scarpia, ośmiokrotnie wywołano go przed kurtynę — nie było już wątpliwości, że śpiewak polski zdobył to niełatwe miasto.

Publiczność porwał Czaplicki nie tylko metaliczną barwą głosu i bardzo dobrą szkołą ale zagrał trudną rolę naczelnika policji rzymskiej z ekspresją wysokiej klasy, nie grzesząc nadmiarem gestykulacji i parian-dow, które śpiewacy Metropolitan wprowadzili por wieku temu na nowojorskie sceny. Dał postać z jednej bryty, naturalną i autentyczną.

LAKONICZNY GEN. ALEXANDER

Legendarny już generał Alexander jest typowym Anglikiem, który nie lubi gadania i w zagnej sytuacji nie traci zimnej krwi. W czasie ewakuacji Dunkienki przybiegł do niego jakiś młody, widocznie nerwowy oficer i zamawdował: "Panie Generale! Nasza sytuacja jest ka-ta-stro-fal-na!" A na to generał Alexander spokojnie: "Nie rozumiem tak długich słów".

DOSŁÓWNE TŁUMACZENIE

Znany magazyn nowojorski "Town and Country" ogłosił niedawno zabawny słownik angielsko-francuski, który jest parodią trudności językowych, na jakie natrafiają żołnierze amerykańscy w Afryce Północnej. Restauracja Caviar — wydrukowała ten zabawny słownik na okładce swego menu.

Oto niektóre z zabawnych tłumaczeń (do których dodajemy tłumaczenie polskie francuskich zwrotów):

(dobranoc) — "Bonne nuit — night nurse,
(mie wolno nalepiać ogłoszeń) — "Defense d'afficher" — no fishing,
(posługaczka) — "Femme de menage" — a woman of my age,
(niezdolny do walki) — "Hors de combat" — war horse,
(choroba morska) — "Mal de mer" — mothers trunk.

POLISH WEEKLY

Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski”

Editor:
JAN LECHOŃ

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—\$3.50 Yearly—\$7.00